Ner 13. Kraków 22 grudnia 1866. Rok I.



**Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.**

Prenumerata miejscowa wynosi: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.— Z przesyłką pocztową: *rocznie* 7 złr. 20 c., *półrocznie* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocznie* 1 złr. 80 c. — *Prenumerata zagraniczna* bez mód i bez nut rocznie 8 złr. 30 c. w.a. Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocznie* 90 c. w. a. Nuty rocznie 1 złr. 25 c., *półrocznie* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

*W Krakowie* prenumerować można w biórze redakcyi: ul. mikołajska 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni Wgo. Czecha. *We Lwowie* można prenumerować i odbierać w ajencyi Herceka i Arnolda na Halickiém *W Poznaniu* w księgarni Mieczysława Leitgebra, Hotel du Nord.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

# MĘCZENNICA.

(POWIEŚĆ.)

przez

**Żoną z pod Karpat.**

(Ciąg dalszy.)

Adam się zerwał, kazał okulbaczyć konia i wyjechał w pole. Wszystkie nerwy grały w nim jak struny szarpnięte gwałtownie — bódł konia ostrogą i szalał po polach. Po paru godzinach powrócił. Joanna grała w salonie — poszedł tam.

— Pani musisz być bardzo na mnie zagniewaną — rzekł zbliżając się.

— Ja? A za co? — spytała łagodnie, ale zimno.

— O na Boga, nie udawaj pani dobroci, której mieć nie możesz dla mnie. Ja wiem, że jestem złym, mściwym, dokuczliwym, ja sam sobą się brzydzę. Przebacz mi pani, już tego więcéj nie będzie; ale bo ja sam nie wiem, co robię, pani jesteś tak...

— Pozwól mi pan odejść — rzekła wstając prędko — i odeszła do swojego pokoju.

Hrabia Adam rzucił nuty na ziemię i wyszedł także do siebie.

Tak było do balu, który miał być dany na imieniny hrabiny. Adam cieszył się na ten bal, miał nadzieję przepędzenia całego wieczoru z Joanną, rozmawiania z nią, tańczenia. Nadszedł ten wieczór — mnóstwo gości zjechało się z okolicy, rozpoczęto tany. Adam nie tańczył, siedział na boku mając oczy wlepione w drzwi, zkąd Joanna wyjść miała. Coś zaszumiało, Adam ruszył się, spojrzał. To była Amelka w niebieskiéj sukni, z czarnemi loczkami, rumiana, wesoła, uśmiechnięta. Postąpił ku niéj.

— A gdzież panna Joanna? —

— Pisze w swoim pokoju.

— Jakto, nie będzie na balu? —

— Nie.

Drgnął gwałtownie, obrócił się i wyszedł do ogrodu.

Joanna rzeczywiście pisała. W chwili, gdy w salonie bawiono się, tańczono, ona pisała list do matki, była to jéj najpiękniejsza zabawa. Rządzca hrabiny miał jutro rano wyjechać do Krakowa, spieszyła się więc z ukończeniem pisma. Pisała matce że jest zdrową, wesołą i szczęśliwą; że stara hrabina całkiem się zmieniła w postępowaniu z nią, że jest bardzo łaskawą. W końcu dodała:

„O Anielce wiesz kochana mamo jakie to anielskie dziewczątko. Bez potrzeby więc zastraszałyśmy się na początku — nie trzeba się nigdy uprzedzać do ludzi“.

Kłamała biedna, tém kłamstwem chciała okupić spokój matki — nie miała odwagi dzielić się z nią swoją boleścią, zamknęła ją w sobie. Skończywszy list, włożyła w środek pieniądze i już miała pieczętować, gdy nagle drzwi się otworzyły i wpadł hrabia Adam.

Joanna wyprostowała się i spojrzała mu w oczy z siłą, jaką daje głęboka obraza.

— Pani nie będzie na balu? —

— Nie.

— Dla czego? —

— Dla czego pan przyszedłeś mnie o to pytać? —

— Pani będzie na balu, ja panią zmuszę. Niema nam kto grać.

— Będę grać, jeżeli pani hrabina każe.

— Więc tylko wtedy? A dla mnie, a na moje prośby pani nie pójdzie? —

— Panie hrabio —

— Joanno — rzekł Adam rzewnie, miękko, składając ręce jakby do modlitwy — ja panią proszę na wszystko. — Gdzie pani idziesz? — zawołał nagle, widząc, że Joanna zabiera się do odejścia.

— Zawołać służącej.

— Więc pani stanowczo nie wejdzie do sali? — pytał niby łagodnie, ale pod łagodnemi słowami wrzał gniew dziki.

— Nie.

— Pani musisz — rzekł gwałtownie wybuchnąwszy i porwał ją za rękę — ja panią zmuszę.

Oburzenie zmarszczyło białe czoło Joanny, szarpnęła silnie ręką tak, że hrabia potoczył się ku drzwiom. To go oprzytomniło, hart dziewczyny złamał go, zpokorniał; walka ze słabą kobietą zawstydziła go.

— Daruj mi pani — zapomniałem się.

Joanna patrzała na niego z pogardą, z góry.

— Rozkazuj mi pani, będę posłuszny.

Wskazała mu drzwi.

— Wyjdź pan natychmiast.

— Odchodzę... i także mi pani dziękujesz? —

— Dziękuję panu, że nie chcesz być podłym — powiedziała gorżko.

— Ha — masz słuszność — rzekł ze wstydem i wybiegł z pokoju.

Po jego odejściu siła opuściła dziewczynę, chwilowe wysilenie zmęczyło ją, upadła w krzesło i poczęła rzewnie płakać.

## III.

### Książka do nabożeństwa.

Dzień zimowy miał się już ku schyłkowi, na zachodzie niebo poczerwieniało. Na tle tego zakrwawionego nieba, czerniła się męka Pańska, stojąca przy drodze wśród szerokich równin; koło krzyża jeżyły się krzaki głogowe, z których czarne wrony strząsały śnieg. Już dobrze zmierzchło, kiedy przez zaspy śniegowe zbliżały się ku krzyżowi sanie; zgrzane konie z trudnością szły w wysokim śniegu pomimo zachęty woźnicy. Obok woźnicy na kożle siedział młody hrabia, w saniach były trzy panie otulone od zimna. Młody hrabia często oglądał się na nie. Nagle konie szarpnęły mocno saniami i skoczyły w bok — kobiety krzyknęły.

— To wilk panie — szepnął woźnica.

— Daj mi lejce, ty zatnij konie.

Sanie ruszyły szybko, postraszone konie ledwie dotykały ziemi.

— Co się stało Adamie? — spytała hrabina z pod futra.

— Konie się zlękły wron na krzyżu — rzekł Adam głośno, a woźnicy spytał po cichu: wielu ich jest? —

— Jeden, panie. —

— A od lasu nie widać więcej?

— Nie panie.

— To nie ma obawy. Miej się tylko na baczności.

Rzeczywiście nie było niebezpieczeństwa, wilk nie miał odwagi rzucić się na tych ludzi, obrócił się w stronę wsi i przepadł w ciemnościach. Nie zadługo zabielił się dwór; konie w pędzie zajechały przed ganek. Hrabia zeszkoczył z kozła i podawał rękę wysiadającym damom. Kiedy Joanna miała wysiadać, zatrzymała się chwilkę w saniach i obejrzała się.

— Czego panienka szuka? — spytał woźnica.

— Ach mój Boże moja książka do nabożeństwa, musiała wylecieć pod krzyżem.

— I cóż wielkiego książka — rzekła hrabina. —

— Jedyna pamiątka po ojcu — rzekła półgłosem smutna guwernantka, westchnęła i wyszła z sań.

Za godzinę we dworze było już cicho i ciemno; tylko stróż nocny czuwał z psami przy bramie. Było już po północy, kiedy boczne drzwi się otwarły, ktoś wyszedł przez nie i poszedł w stronę folwarku, zapukał w jedno okno i schował się w cień.

— Kto tam? —

— Maciej wychodź — odezwał się głos silny męzki.

Po chwili wyszedł służący zaspany, odziany górnicą, obejrzał się w koło.

— Tu do mnie Maciej.

— Chryste Jezu, a dyć to jasny pan.

— Cicho! Weź latarnię i łopatę.

Maciuś półwaryjat cel pośmiewiska ludzi, cofnął się i przeżegnał:

— Hi, hi czy to panicz będzie jakiego nieboszczyka grzebał?

— Spiesz się.

Maciuś poszedł i za chwilę wrócił.

— A gdzie panie pójdziemy? spytał dzwoniąc zębami.

— Do krzyża.

— Hi, hi, a toć to będzie dziw stróżowi, jak mu w oczy latarnią zaświecę i powiem: widzisz, nie tylko głupi Maciuś po nocy łazi.

— Prawda, tam stróż, chodź przez płot.

Przeskoczyli parkan i zniknęli w ciemności.

Nad ranem psy zaszczekały głośno i rzuciły się w stronę parkanu — ale nagle ucichły. Przez parkan przelazł hrabia i Maciuś cały skostniały od zimna i strachu.

— Idź spać, a nie piśnij przed nikim o tém, żeś gdzie chodził — rozumiesz? rzekł hrabia i sam udał się ku dworowi, wszedł cicho do sali, coś wsunął w for-

tepian i poszedł do siebie. Był znużony i zziębnięty — rozbierając się, dobył z zapasa pistolet i położył go na biórku. Pistolet był wystrzelony na wilka.

Na drugi dzień Joanna jak zwykle po śniadaniu poszła do fortepianu przegrywać ćwiczenia. Jakże się zdziwiła, gdy otwierając go, znalazła na klawiszach zgubioną książkę, była jeszcze mokrą od śniegu. Otworzyła ją i ucałowała z radością i łzami, potém się zamyśliła mocno i zastanowiła: kto znalazł tę książkę? Mówiła wczoraj o niéj woźnicy, ale woźnica nie kładłby jéj w fortepianie. Któż więc taki? Nikt inny nie słyszał oprócz hrabiego Adama — a może też on.... Zarumieniła się tym domysłem. Boże; jakiż on teraz dobry od jakiegoś czasu, jak inny. Radaby go była w téj chwili widzieć, podziękować mu.

Usłyszała kroki — zebrała całą siłę duszy, chciała zapanować nad wzruszeniem. Drzwi się otwarły — wszedł.... to nie był Adam, to był rządca wracający z Krakowa.

— Od matki list — zawołała ucieszona, pobiegła ku niemu i wyrwała mu list z rąk.

— Widziałeś się pan z nią?

— Byłem kilka razy u niéj.

— Dziękuję panu, bardzo dziękuję.

— O nie ma za co, proszę pani — to mówiąc, pocałował ją w rękę. Joanna cofnęła się, jakieś niemiłe uczucie przeszło ją w téj chwili. W ogorzałéj twarzy rządcy wyczytała coś nieprzyjemnego dla siebie i odeszła pospiesznie.

Z bijącém sercem wróciła do swego pokoiku, ucałowała list, potém go rozpieczętowała i czytała z zajęciem. Nagle rozpromieniona twarz poczęła blednąć, wyraz radości przemienił się w okropną boleść. Przeczytawszy list, zmięła go kurczowo w rękach i poczęła płakać, płacz coraz bardziéj zrywał piersi, aż się zmienił w konwulsyjne drganie. W takim stanie zastala ją Amelka wchodząca do pokoju. Wybiegła z krzykiem wołać o pomoc.

— Co się stało? — spytał Adam niespokojnie siostry.

— Panna Joanna zachorowała.

Adam poleciał w stronę jéj pokoju — u drzwi zatrzymał się, balowa scena stanęła mu przed oczami i cofnął się. Zawołał na pokojową a sam kazał coprędzéj zaprzęgać i wyjechał po doktora.

Właśnie hrabina weszła do pokoju guwernantki dowiedzieć się o przyczynie tego zamięszania, gdy wszedł doktor.

— A konsyliarz tu zkąd?

— Pan Adam mnie przywiózł.

— On? ruszyła ramionami i wyszła.

Chora wracając do przytomności, słyszała ostatnie słowa i jakieś dziwne, rzewne uczucie roztkliwiło ją. Położono ją na sofie — była mocno osłabioną, w zaciśniętych palcach trzymała list od matki.

Zobaczmy co było w tym liście. Był w tych słowach:

„Kochana Joasiu!

„Nie jesteś szczerą dla twojéj matki, piszesz mi, że jesteś wesolą i szczęśliwą, a tak nie jest. Choćby mi nikt o tém nie mówił, domyśliłabym się tego, bo serce matki oszukać się nie da i przeczuć prawdę umie. Ty cierpisz moje drogie dziecię, cierpisz dla nas. Oddawca twego listu opowiadał mi wiele o tym domu, ty tam dłużéj zostać nie możesz, oni by cię zamęczyli. Takie jest moje zdanie, tak i on sądził. To człowiek prosty, bez wykształcenia, ale ma serce, to też polubiłam go bardzo. Mówił mi wiele o tobie, z jego mowy domyśliłam się, że ten człowiek prawdziwie cię kocha, ale nie śmiał ci o tém mówić, nie zyskawszy wprzód mego zezwolenia; domyśla się tylko z twego z nim obejścia, że ci wstrętnym nie jest. Czy to prawda Joasiu? Boże, gdyby tak było, jakże nazywałabym się szczęśliwą. Ta myśl, że dziecko moje nie będzie się poniewierać między ludźmi obcymi i złymi, że los twój będzie spoczywał w ręku człowieka kochającego cię szczérze, odmłodziłaby mnie. Ignacy mi mówił, że porzuca służbę i od ś. Jana bierze dzierżawę na siebie — w taki sposób niezadługo bylibyśmy razem. Pojmujesz moje drogie dziecię — na zawsze razem. Nie narzucam ci jednak mojego zdania, nie radzę iść wbrew skłonnościom serca. Namyśl się i odpisz mi“. — Twoja matka.

## IV.

## Ofiara serca.

Dla czego Joanna zapłakała nad listem matki?

Słowa matki jak błyskawica przeleciały nad ciemną przepaścią jéj duszy i zobaczyła w sobie uczucie, które dotąd nie miało słów ani myśli. To uczucie dziś pierwszy raz pomyślało imie: Adam. Strach i żal zatrząsnął jéj piersią i wywołał spazmatyczne łkanie. Wśród tylu przykrości, jakich młoda jéj dusza doznawala, miała jedną osłodę: marzenia, rojenia piękne. To tajemnica młodości, to czar rozwijającéj się duszy, czar, który nawet grobowe sklepienia ubiera w tęcze i kwiaty, nieszczęścia w białe stroi zasłony i na niebezpieczeństwa rzuca mosty wiary. Któż nie miał w życiu takiéj chwili? I nie są to marzenia o czemś, o kimś, ale jakaś suma przeczuć, nadziei bez słów, bez twarzy — i człowiek wierzy w to wszystko, czego się spodziewa za tajemniczą zasłoną przyszłości. — W takiéj epoce była dusza Joanny — marzenia trzymały ją jak skrzydła w górze nad ziemią i błotem — nieraz miała dla ducha takie wyżyny, na których ją nie dotykały kolce ziemi i szyderstwa ludzkie. Dziś słowa matki rozwiały przed nią ten cały kraj młodéj wyobraźni, kazywały wrócić na ziemię i to jeszcze do człowieka, którego mało znała, do którego nie czuła żadnéj sympatyi.

Teraz dopiero przypomniała sobie, jak nieraz podczas spaceru lub przy spotkaniu rządca rozpoczynał z nią rozmowę. Słuchała go cierpliwie jak człowieka, do którego się nie ma wstrętu. Ten spokój on wziął za przychylność. I z tym człowiekiem ma iść razem całe życie? To okropnie — wzdrygnęła się na tę myśl i chciała odpisać matce „nigdy". Wzięła jéj list w rękę i zabierała się do odpisu. Ale tam w liście matki stało daléj: „Pojmujesz drogie moje dziécię, będziemy nazawsze razem" — i omdlała jéj ręka wypuściła pióro. Być razem — to było słowo jéj duszy i miałaż dobrowolnie wyrzec się tego szczęścia, zniszczyć nadzieje matki? Niepodobna. Wzięła więc znowu pióro do ręki i chciała napisać „dobrze". Wzrok jéj zatrzymał się na książce od nabożeństwa, to skierowało jéj myśl w inną stronę. W głębi tych myśli stał Adam milczący a mówiący do niéj tyle bladością twarzy, modlitwą oczów. On teraz inny jak dawniéj i taki łagodny a rzewny. Dziéwczę zasłoniło oczy, główką uderzyło o ścianę z rozpaczy i załamało ręce.

Nie było to uprzedzenie Joanny, że hrabia Adam się zmienił. Od owéj sceny balowéj zmienił się do niepoznania; słowo o podłości, jakie w chwili oburzenia wyleciało z ust dziewczyny, było nowym chrztem jego duszy, rozszalałe namiętności jego ucichły jak morze pod stopą Chrystusa i stał się innym człowiekiem. Miłość jego nie szalała, nie rzucała się, nie rozpaczała, ale była cicha, piękna, szlachetna. Pragnął odgadnąć każdą myśl Joanny, przeczuć jéj chęci — wszędzie spotykała ślady jego przywiązania, ale nigdzie jéj się nie narzucał. Ona widziała to wszystko, mogła nawet domyślać się pod czyim wpływem tak zmienił się ten człowiek i dla tego płakała nad listem matki.

Ale nie sama Joanna spostrzegła zmianę w postępowaniu Adama, dostrzegła to i hrabina. Z początku brała to za chwilowy kaprys syna, wybryk młodości; późniejsze symptomata zatrwożyły ją. Od chwili, gdy Adam tak szybko sprowadził doktora do choréj Joanny, poczęła go bardziéj uważać i przyszła do tego przekonania, że chłopiec dał się zanadto obałamucić, że w wieku, w jakim on był, człowiek jest zdolny zrobić głupstwo tj. rozkochać się na prawdę — postanowiła więc położyć temu koniec. Nie długo czekała na sposobność.

Raz podczas większego zebrania u hrabiny, hrabia Adam nie pokazał się wcale w salonie. Joanny nie było także. Ona siedziała przy ślepym starcu i bawiła go czytaniem.

— Przestań już moja panno, zmęczyłaś się — rzekł stary.

— Wcale nie jestem zmęczona, może pan hrabia każe…

— Nie, nie, lepiéj mówmy, bo widzisz mówimy zwykle o tém co chcemy, co lubimy — a książki często mówią nam straszne rzeczy, przypominają nam grzéchy stare i zapomniane pamiątki. Ale gdzie Amelka?

— W salonie przy gościach.

— Więc się bawią? A ty czemu się nie bawisz — może pójdziesz?

— O nie panie hrabio, ja nie lubię zabaw.

— Tak jak twój ojciec.

— Pan hrabia znał mego ojca? —

Hrabia skrzywił twarz okropnie —

— Nie mówmy o tém.

Po chwili spytał:

— Dobrze ci tutaj u nas?

— Bardzo dobrze. —

— No to chwała Bogu, ja bym chciał, żebyś się tu czuła jak u siebie. Ot gadam dziś za wiele. Czytaj mi lepiéj. —

Joanna podniosła książkę i czytała daléj. Młody hrabia siedział w swoim pokoju zamyślony i przez uchylone drzwi słuchał jéj głosu i marzył rozkosznie. —

Wtem otwarły się drzwi, weszła hrabina.

— A to co znowu? Sam jeden tutaj, kiedy many gości?

— Nie jestem dziś usposobiony.

— Nie od dziś tak. Ja wiem powód tego nieusposobienia.

Adam się zerwał z kanapy.

— Na Boga matko ciszéj — prosił wskazując na drzwi uchylone.

— Przed kim cicho, przed nią? Przed lada włóczęgą, która jutro może już być Bóg wie jak daleko od mego domu?

Adamowi krew uderzyła do głowy.

— Matko szanuj tę kobietę, nie poniewieraj tak słowami twéj synowéj.

— Co? — hrabina rozśmiała się głośno, szyderczo.

Hrabia zamknął drzwi prowadząc do pokoju ojca, potém wrócił do matki i rzekł z siłą:

— Matko to nie dziecinne zachcenie, to wola mężczyzny, ty mnie znasz, że nie umiem się cofać.

— Zobaczymy, jutro ją wypędzę.

— Aby ją potém przyjąć ze mną.

Hrabina dygotała z gniewu.

— Przekleństwo matki zagrodzi ci drogę do ołtarza.

— A jeżeli ja i ten próg przekroczę — to co wtedy matko? rzekł Adam siląc się na spokój.

— Ha, wyrodne dziecko — jęknęła hrabina.

— Byłbym niém, gdybym się targnął na miłość macierzyńską, ale ja występuję tylko przeciw dumie, która nie chce zrobić żadnego ustępstwa — nawet dla mego szczęścia. O, gdybyś ty znała tę kobietę.

Hrabina nie słyszała już tych słów, wyszła zatrzasnąwszy drzwi za sobą. Wróciła do gości zmieniona, drżąca; wnet jednak zapanowała nad sobą, bawiła gości, rozmawiała, zapraszała. Niktby nie poznał co tam wrzało pod tą marmurową twarzą. Hrabina niespodzie-

wała się tego, zdawało jéj się, że samo jéj wspomnienie o téj niedorzecznéj miłości zawstydzi syna — tymczasem trafiła na opór, który obraził jéj powagę matczyną. Na téj drodze nie widziała wyjścia, znała gwałtowność syna, była przekonaną, że na wszystko odważy się gotów. Trzeba było więc uderzyć z innéj strony — nie zwlekała długo. Ledwie się goście rozjechali, kazała zawołać Joannę. Guwernantka zabierała się już do spania, zdziwiło ją to niezwyczajne wezwanie, zebrała się więc i poszła nie bez wzruszenia i obawy. Hrabina wchodzącéj przypatrywała się długo, ironicznie, nie mówiąc ani słowa.

Joannę męczyło już to milczenie.

— Co pani hrabina ma mi do rozkazania? — spytała z pokorą.

— Ja? pannie? rozkazywać? — Gdzieżbym śmiała. Nie długo ty mi rozkazywać będziesz, może mnie i wypędzicie ztąd?

— Nierozumiem pani hrabiny.

Ten spokój zniecierpliwił hrabinę.

— O rozumiesz mnie ty intrygantko — zastawiłaś sidła na bogatego ptaka i myślałaś że ci się uda. Póki ja żywa, nic z tego.

— Ależ pani hrabino, ja nic nie rozumiem.

— Nie? Więc powiem jasno. Jak daleko zaszła twoja znajomość z moim synem?

Rumieniec oburzenia oblał bladą twarz guwernantki, hrabina inaczéj sobie to wytłomaczyła i mówiła daléj:

— Więc dla tego wzięłam cię w dom, abyś zburzyła spokój i szczęście jego? Niegodziwa.

— Pani hrabino, boleść matki tylko tłomaczy tę obelgę. Kto powiedział pani hrabinie, że ja kocham jéj syna? — rzekła z godnością.

Hrabina spojrzała jéj w oczy i zawahała się, tyle prawdy i spokoju było w głosie i w oczach, że trudno było nie uwierzyć. Winna takby się nie odezwała.

— Więc go nie kochasz?

Joanna chwilę pasowała się z sobą, potém rzekła z siłą:

— Nie.

Hrabina odetchnęła, przeszła się po pokoju — potém wróciła przed Joannę i zapytała nagle:

— Ale jeżeli on cię kocha i zechce poślubić? —

— On tego nie zrobi.

— Dla czego?

— Bez błogosławieństwa swéj matki?

— A jeżeliby i to zdeptał, co wtedy? — pytała rozgorączkowana matka. —

— Wtedy... wtedy...

— Zgodzisz się na wszystko? spytała hrabina drwiąc.

— Nigdy. Ja znajdę sposób, ale nie dziś, nie teraz pani hrabino, miéj litość nademną, mnie się mięsza w głowie, słabo mi...

Hrabina zadzwoniła na pokojową.

— Odprowadź pannę do jéj pokoju i czuwaj nad nią, bo słaba. Gdyby się pogorszyło, posłać po doktora. Dobranoc moje dziecię, bądź odważną.

(Dokończenie w następ. numerze.)

---

## Smutek Dziewicy.

Czemu ty smutna, czemu twéj żrenicy
Wieczna łza smutku zasępia wejrzenie?
Na ustach korny pacierz zakonnicy,
Która li Bogu zwierza swe marzenie.

Czemu gdy grono dziewic cię otoczy
I mówią o swych kochanków stałości,
Ty jedna spuszczasz skromnie na dół oczy,
Jak gdybyś w życiu nie znala miłości?

Czemu gdy śpiewasz, na prośby słuchaczy
Głos twój na *mol* ton rzewnie nastrojony,
Podobny skargą do liry żebraczéj,
Co żebrze łaski, litości, ochrony?

Czemu ty zawżdy czarne nosisz stroje,
Pod szyją krwawym koralem upięte?
Czyż tak zbolałe biedne serce twoje,
Że świat i ludzie są mu obojętne?

Czemu, gdy Sybir wspomni kto przy tobie
Drżąca, zmieszana wychodzisz z salonu
Blada jak posąg boleści na grobie —
Czy ty już taką będziesz aż do zgonu? —

Iwanie, w grudniu 1866 r. *Józef Sokołowski.*

---

## Manon Phlippon Roland.

(Życiorys.)

(Ciąg dalszy.)

### IV.

Każda zdrowa nieskrzywiona natura, każda dusza pięknie rozwinięta, nie może się zamknąć w skorupie jednéj wyłącznéj myśli; jednostronność zadowolnić jéj nie może. Każde drgnienie myśli i serca ma swoje prawa, których krzywdzić nie można, bo ucierpi na tém szczęście wewnętrzne lub charakter. Mogą przeważać pewne widoki, pewne zasady; każdy człowiek, jeżeli jego życie ma być coś warte, musi mieć swój cel i obrać swoje drogi; jednak po za tém nie powinien zamykać przystępu do siebie innym wrażeniom, innym uczuciom, które są odpowiednie towarzyskiemu usposobieniu człowieka. Są one owszem wewnętrzną potrzebą, po-

żywiołem niezbędnym do utrzymania harmonii duchowéj. Piękna jest pewność siebie, piękne jest owo szlachetne zimno, ostrożność w życiu, równa odwadze życia: ale prawdziwy charakter nie wyklina pokus, bo się ich nie boi — nie waha się zajrzeć i w przepaście, bo czuje u ramion skrzydła, które go ku słońcu każdéj chwili wynieść mogą.

Poznaliśmy cnoty i republikański charakter p. *Roland*, poznaliśmy zarazem, że nigdy nie przestała być kobietą. Rozważmy teraz trudność sytuacyi. Kobieta piękna, młoda, żywa jest żoną zacnego ale starego, znękanego człowieka; naokoło niéj tłumy najrozmaitszych ludzi, młodych, rzutnych, znakomitości swojego czasu. Patrzą w nią jak w tęczę i krążą koło niéj jak planety koło słońca; słowem jest to wiadomą rzeczą, że ktokolwiek do niéj się zbliżył, przypłacił to spokojem bodaj na jakiś czas: a można wyliczyć cały tuzin takich, którzy się w niéj aż do końca życia kochali. I czyliż to podobna, żeby i u niéj, która prawa serca tak wcześnie skrępowała i przytłumiła obowiązkiem i pracą, żeby i u niéj nareszcie ta strona nie zagrała jako współczujące echo téj serdecznéj muzyki naokoło niéj? Byłoby to przeciwne ludzkiéj naturze, byłby to przymus, któregoby ona nie zniosła.

Pomimo wskazówek, jakie podają listy i pamiętniki, jest jednak nadzwyczaj trudno zrobić sobie jasny obraz jéj stosunków sercowych. O ile charakter jéj jest przejrzysty, o tyle przeciwnie usposobienie jéj, jéj dusza kobieca jest na wskróś zagadkową, mieniącą się wszystkiemi barwami. Toż mówi sama o sobie w jednem miejscu: „Przedwczoraj umierałam, wczoraj byłam znudzoną, dzisiaj mam się doskonale, jestem wesołą jak ptaszek i rozbudzoną.... Jeżeliby mnie kto spytał, dla czego? — alboż ja wiem, ot tak sobie i koniec“.

Trzeba nam zatém zrzec się dociekania wszystkich pobudek i wrażeń, które ją opanować mogły; przyjrzymy się tylko w jakim stosunku były jéj serdeczne drgnienia do moralnéj wartości jéj charakteru.

Kiedy jeszcze mieszkali na prowincyi, już w ich domu ugrupowało się gronko zaufanych przyjaciół. Ich usposobienie łagodne, wrażliwe, poważna ale pełna zapału dobroć pana *Roland*, ich wspólne umiłowanie wszystkiego co było dobre i piękne, ich przywiązanie do téj kobiety, która im była wzorem doskonałości, wszystko to składało razem pełną, zgodną harmonią. Tak im było dobrze w tém gronku, że powzięli zamiar wspólném kosztem zakupić majętność, w któréjby wiecznie razem, niby jakaś arkadyjska kolonija mieszkać mogli. Pan *Roland* z całą ufnością i wiarą w przyjaźń i cnotę popierał tę myśl, i ta okoliczność daje nam wysokie pojęcie o nim i jego przyjaciołkach. „Przybywajcie zawrzeć ten związek, będzie to urok naszego życia, będziemy tworzyć jedną rodzinę, ożywioną tém życzeniem, żeby być pożytecznymi dla innych“

Ale było to niepodobieństwem. Ci wszyscy przyjaciele mimowoli i bez nadziei wprawdzie — byli jednak zakochani w p. *Roland*. A ona — i ona kochała jednego z nich. Mąż wyjechał do Lionu, z tamtąd odesłał jéj list owego wybranego, zajmujący się sprawą owéj kolonii. Ona była na wsi sama jedna. Po parném gorącu powstała słota i trwała już kilka dni; grzmoty i pioruny nie ustawały; na niebie była burza i na ziemi burza; w jéj sercu burza namiętności, a tam na świecie burza rewolucyi. Wszystko wróżyło wielkie niespokoje, powódź wypadków mogących porwać i złamać serce.

Ona czytała ów list i zanosiła się od płaczu; poczęła wreszcie odpisywać, przyznaje się, że jest zaniepokojona, nie tai; że płacze, ale w końcu powiada: „Nie, nie wierzę w szczęście pana i nie przebaczę sobie nigdy tego, żem je zaniepokoiła. Mam sobie jednak za obowiązek, wyznać Panu, że szczęście swoje przywiązujesz do środków i widoków, które ja mam za fałszywe, do nadziei, któréj ja panu zakazuję“. Stosunek ten przerwał się — nie ustała jednak wymiana listów; a kiedy po niejakim czasie dowiedziała się o nowéj miłości owego człowieka, w któréj na wielkie napotykał przeszkody, ona wtedy z szlachetném poświęceniem, ofiaruje mu swoje delikatne rady, swoje pośrednictwo.

Lecz nie w tym wypadku należy szukać istotnego uczucia, któregoby się obawiać mogła. Stało się to dopiero w Paryżu. Spostrzegłszy niebezpieczeństwo, jakie grozi jéj sercu, uciekła ona na jakiś czas na wieś, aby rozwagą w samotności, i myślami, jakich jéj obficie dostarczał wykształcony umysł i surowe zasady „ocalić atletycznym wysiłkiem, jak sama mówi, wiek dojrzalszy przed burzą namiętności“. Ale któż to był ten człowiek, który potrafił pozyskać uczucie takiéj kobiety? Różni różnych podają — ale ostatecznie nikt nie wie. I oto jest druga owa tajemnica, o któréj wyżéj była mowa, tajemnica majestatyczna, jakby umyślnie na to, żeby pamięć téj kobiety nieskazitelną pozostała.

Mali i zazdrośni ludzie usiłowali koniecznie wynaleść w jéj życiu plamy; i utrzymywali, że pod koniec dramatu, w chwili jéj najwyższego wyniesienia, wpośród zawieruchy i niebezpieczeństw rewolucyjnych, ona miała czas i odwagę słuchać galanteryj i pozwolić się kochać. Lecz cóż, kiedy żaden z oszczerców nie jest w stanie wymienić jéj nazwiska!

W istocie jednak w podobném położeniu nie mogło się obejść bez zawiści, obmowy i złości. Ona sama nawet w prostocie swojéj i szczerości nieraz powody i pozory do tego dawała. Nie było jéj tajném ile serc naokoło niéj zginało przed nią kolana. Ona ceniła własne uczucia, więc ceniła je i u drugich, i nie mogła odpychać ich zbytnią stoicznością. Zresztą powiedzmy otwarcie, *Manon* była kobietą, więc nie mogło jéj to nie pochlebiać że była słońcem dla wielu: kobieca miłość własna także tam coś znaczyła, i chodziło jéj o to,

żeby zastęp garnący się do niéj, utrzymać pod panowaniem swojém, i żeby się ciągle zwiększał wpływ jéj. Lubi ona zespalać przyjaźń z wzruszeniami publicznemi, które ogarniały i unosiły jéj duszę. „Jest to — mówi ona — dodawać do wielkiego interesu wspaniałéj historyi, interes wzruszający szczegółowego uczucia, jest to z patryjotyzmem, który uogólnia, podnosi uczucia; jednoczyć wdzięk przyjaźni, który je wszystkie upięknia i jeszcze udoskonala“. Nikt z otoczenia jéj nie mógł się posunąć do jakiéjś nadziei — jednak nie odstąpili jéj; bo wzbudzała miłość, nie jak kobieta, ale jakby uosobistniona szlachetność i prawda.

Niejeden z tych ludzi uległ czarowi, nie zatrzymał się na przyjaźni. Ona to czuje, widzi, nie lęka się tego, i ta młoda matrona rzymska trzyma w swojéj delikatnéj ale pewnéj ręce wszystkie nici tych tajemniczych uczuć, które sama jedna zna, które obudza, któremi kieruje, które dowolnie gasi lub ożywia powabami swojemi. Zrobiła ona sobie niebezpieczny ideał, gdy marzy ta o tém „żeby być szczęściem jednego, a węzłem łączącym wielu“. I gdyby szło o inną kobietę, możnaby powiedzieć: że ją tylko rewolucyja, rzeczpospolita, walka, śmierć, ocaliła przed nią samą, przed następstwami niebezpiecznéj gry. Tutaj jednak nie zachodzi ten wypadek. Pan *Roland* znał ją dobrze, wierzył jéj, nie obawiał się — i wiemy, że się nie zawiódł. Ale też kiedy widział tortury i niebezpieczeństwa jakie jéj groziły, umiał być wyrozumiałym na naturalną kolej rzeczy; bolał razem z nią, ale był spokojny, słusznie licząc na to, że cnota, czas i potęga jego przywiązania ukoją burzę i powrócą szczęście zamącone na chwilę.

(Dokończenie w nast. numerze.)

---

## KORESPONDENCYJE.

---

*(w Grudniu 1866.)*

Numera 6ty i 7my „Kaliny“ zawierały sprawozdania o naradach kobiet w Lipsku i o kongresie dla nauk społecznych w Manchester; może więc i niektóre wiadomości o organizacyi i czynnościach stowarzyszenia do wspierania pracy kobiecéj, zawiązanego w Berlinie, będą chętnie przyjęte od czytelniczek „Kaliny“.

Do stowarzyszenia tego może przystąpić każda dorosła osoba, tak kobieta jak i mężczyzna, jeżeli zobowiąże się płacić rocznie najmniéj 1go talara, albo da jednorazową wkładkę w sumie 10 talarów. Na powszechném zgromadzeniu stowarzyszenia wybrano wydział zawiadujący, i komitet przewodniczący, któremu powierzony jest główny zarząd wszystkich spraw stowarzyszenia.

Do wewnętrznego zawiadywania różnych gałęzi czynności stowarzyszenia, są ustanowione komitety, składające się z mężczyzn i kobiet, jest ich cztery.

1. Komitet naukowy, ma się zajmywać zakładaniem i wspieraniem instytutów naukowych, kształcących kobiety do przemysłowego lub komercyjalnego zawodu; owocem zabiegów tego komitetu jest otworzona w Kwietniu b. r. przez profesora Clément handlowo-przemysłowa szkoła dla kobiet; komitetowi naukowemu zastrzeżono wpływ doradczy przy układaniu planu naukowego dla téjże szkoły; ma on być także przytomnym przy egzaminach wstępujących i występujących uczennic, i może rozstrzygać o bezpłatném przyjęciu biednych dziewcząt do instytutu naukowego profesora Clément.

2. Komitet do urządzania sklepów i wystawy dla ręcznych wyrobów kobiecych np. szycia, haftów itp. Wiadomem jest powszechnie jak nizką płacę otrzymują kobiety za mozolne i kunsztowne nieraz roboty, podczas gdy publiczność po sklepach i magazynach wśród drogo je opłacać musi, zadaniem więc komitetu jest wprowadzenie w bezpośrednią styczność pracujących kobiet z publicznością, co tak pierwszym jak i drugiéj korzyść przyniesie; komitet ten otworzył w Maju br. tak zwany „Viktoria-Bazar“ w którym bywają wystawiane i sprzedawane różne wyroby ręczne kobiece.

3. Komitet do nastręczania samoistnie utrzymującym się kobietom stosownego wiktu i pomieszkania; działanie tego komitetu będzie nader dobroczynne, bo ochroni kobiety od upośledzenia tak w ekonomicznym jako też i moralnym względzie.

4. Komitet do wyszukiwania zatrudnienia kobietom w zawodzie przemysłowym, i do pośredniczenia między dającymi umieszczenia i szukającemi go, dzieli się na 3 komitety specyjalne:

a) *Komitet statystyczny*, którego zadaniem będzie systematyczne zestawienie różnych zatrudnień i zakładów naukowych kobiecych, jakie w kraju i za granicą istnieją i których skuteczność doświadczono.

b) *Komitet specyjalny* ma zajmywać się przemysłowém wykształceniem kobiet i podawaniem im sposobności do osiągnienia go. Komitet tenumieścił już po drukarniach znaczną liczbę młodych dziewcząt jako zecerki *).

c) *Komitet do nastręczania* pracy kobietom i bezpłatnego pośredniczenia w wynalezieniu umieszczenia, w tym celu urządził komitet bióro wywiadowcze, prowadzone przez kobietę, bióro to przyjmuje wszelkie prośby o umieszczenie i wedle możności czyni im zadosyć.

Oto są główne zarysy organizacyi i czynności berlińskiego stowarzyszenia do wspierania pracy kobiecéj.

Około 400 osób różnego stanu i z różnych okolic kraju przystąpiło już do tego stowarzyszenia, wspierając go nietylko pieniężnemi datkami, ale i osobistą pracą.

Nad zbawiennemi skutkami podobnego stowarzyszenia nie będę się rozpisywać, aż nadto wymownie przemawia ono samo za sobą.

Ale teraz zwracam się do tych pań czyżby nie udało się połączonym ich usiłowaniom zawiązać u nas podobne stowarzyszenie? Wiem, że [illegible] „Kaliny“ otworzy[illegible] chętnie szpalty swoje różnym wezwaniom, uwiadomieniom i spraw[illegible] takiego stowarzyszenia. Gdyby odezwanie się moje, znalazło odgłos w sercach mych rodaczek, gdyby rzucone tu myśli za ich staraniem urzeczywistniły się, ilużby to sercom drżącym o jutro spokoju przybyło, ileżby łez gorzkich przemieniło się w łzy radości i wdzięczności, a co największéj? ileżby to moralność na tém uzyskała: Podajmyż pomocną dłoń siostrom naszym, nie żałujmy pracy i mienia, a pozyskamy sobie najdroższy skarb, jaki w życiu nabyć można, bo dozgonną wdzięczność serc przez nas uszczęśliwionych! —

*Alma K.*

---

*) W Wirtembergii wstąpiło obecnie 10 kobiet do służby, jako urzędnicy przy kolejach żelaznych. — (Przyp. Red.)

---

## ROZMAITOŚCI.

**TEATR.** Opera nęcąc do teatru publiczność, zrobiła przysługę dramatowi, bo odtąd i na przedstawieniach dramatów jest zawsze pełno — idzie teraz tylko o to, aby dyrekcyja umiała korzystać

z tego zainteresowania się publiczności i nieodstręczała jéj złemi sztukami. A nie tak wiele potrzeba nam już do świetności: trochę więcéj kostiumów i przyborów teatralnych, lepszéj maszyneryi (która szczególniéj w Szekspirowskich dramatach jest konieczną), gwałtem jakiego dobrego artysty do ról salonowych kochanków i pierwszorzędnych bohaterów. Dawniéj, tj. za dawnéj dyrekcyi, zadowalnialiśmy się w tym względzie miernościami, ale teraz, gdy na pierwszym planie stanęły takie talenta jak p. Rapackiego i p. Modrzejowskiéj, mierny kochanek nie wystarcza. Nareszcie potrzeba koniecznie dyrekcyi postarać się o dobrego reżysera (powtarzamy to po raz drugi). W obecnéj bowiem reżyseryi widać brak zdolności i zaniedbanie. Jak można było np. rolę Tubala w „Kupcu Weneckim" powierzać aktorowi, którego ruchy, mowa są więcéj jak komiczne; przez to najpiękniejsza scena straciła na swéj wartości. Również widzimy, że każdy z artystów zostawiony jest samopas, bez żadnych wskazówek i rad, dla tego najmniejszego nie widać postępu u tych nawet, którzy z początku dość obiecywali. — Powtarzamy jeszcze raz, że jedną z pierwszych potrzeb jest potrzeba zdolnego reżysera. — Dla braku miejsca wstrzymujemy się od dalszych uwag. Chcielibyśmy tylko, aby dyrekcyja przyjęła je takiém sercem, z jakiém je dajemy — idzie nam bowiem tylko o świetność naszéj sceny, a spodziewamy się, że i dyrekcyja tego samego sobie życzy.

Zakończamy nasze uwagi krótkiém sprawozdaniem. Nie podajemy treści „Kupca Weneckiego" jako ogólnie znanéj. Dla uciechy pospólstwa, jak powiada Heine, Szekspir rzucił na scenę znienawidzoną postać żyda, ale geniusz jego stworzył z niéj arcydzieło. To prawie jedyna wykończona figura w téj komedyi, około niéj ruszają się inne, z których połowa jest niepotrzebną. Treść komedyi złożona z powiastek i anegdot krążących wtedy między pospólstwem, wyraźnie pokazuje dla kogo była pisaną. Mimo to z zajęciem widzieliśmy tę sztukę choćby dla saméj gry pana Rapackiego, która publiczność krakowską z natury dość flegmatyczną w entuzyjazm wprawiła.

O dramacie: „Studenci paryscy" granym na dochód p. Ekera, trudno coś powiedzieć. Całość (jeżeli to całością nazwać można) składa się z osób, które się przez 5 aktów śmieją, i takich, które przez całe pięć aktów płaczą, łamią ręce i mierzwią włosy. Pierwszy akt okropny papla wypowiada wszystko, dalsze cztéry są nudném rozwodzeniem tegoż. Ustępy moralne są arcy-nudne, a niemoralne wcale bez dowcipu. Przez całe pięć aktów biedna dziewczyna szuka dla matki umierającéj z głodu kawałka chleba czy bułki i znaleść go nie może, widzimy ją przy stole pełnym indyków, tortów, pomarańcz, niktby jéj nie bronił wziąść co z tego, bo współbiesiadnice to jéj koleżanki i przyjaciołki. To téż każdy rusza ramionami, gdy widzi ją topiącą się dla tego kawałka chleba — a potém szukającą hańby. — Dwie panny się topią, dwóch młodych je ratuje; — oprócz tego wchodzi na scenę zdrada, spadkobierstwo przekleństwa i zemsty i Bóg wie co — a cała sztuka usilnie stara się o to, by słuchacza skłonić do ziewania. I rzeczywiście powodzenie w tym względzie było zupełne. Tylko podczas drugiego aktu publiczność jedną sceną nieco się ożywiła. Ma być bal studentów i gryzetek; siostra jednego z tych studentów chce ukryta przypatrywać się téj uczcie, ale odwodzi ją od tego obcrzysta, mówiąc: niech panienka ztąd ucieka, bo tu ci panowie będą dokazywać takie rzeczy... takie rzeczy... że ja choć stary, bez zgorszenia patrzeć na to nie mogę. — Proszę sobie wystawić położenie wszystkich mam, ciociów i opiekunek po lożach, które słysząc taką zapowiedź, nie mogły swych córek i kuzynek wyprowadzić z teatru i z trwogą oczekiwały co to będzie. Szczęściem, że skończyło się tylko na zapowiedzi i gryzetki dość przyzwoicie się znajdowały.

Już nieraz zwracaliśmy uwagę na lepszy wybór sztuk dla naszéj publiczności i pomijanie scen, które tylko dla męzkiego kółka są znośne. Posądzono nas wtedy o przesadną pruderyją; pokazuje się jednak, że ona nie była zbyteczną i że od czasu do czasu pojawiają się na scenie sztuki, przed któremi będziemy musieli ostrzegać nasze panie.

— **Powszechna międzynarodowa wystawa w Paryżu, w r. 1867.** Mieć zgromadzone w jedném miejscu płody, wynalazki, domy, sprzęty, ubiory, sztuki, wszystko co tylko mają najlepszego cywilizowane narody ziemi — to zaprawdę widok i rozkosz, które się stały możliwe dla ludzi dopiéro w wieku, w którym tysiące mil powiązane zostały ze sobą kolejami żelaznemi, w którym po morzach kołyszą się olbrzymie ruchome pałace. Już same przygotowania do téj wystawy obudzają wielkie zajęcie. Na Polu Marsowém pracuje bezustannie mrowisko 5000 robotników z murarzy, cieśli, szklarzy, ogrodników, malarzy... Pałac wystawy, niby żelazny cyrk zajmuje w pośrodku esplanady 147,000 metrów kwadratowych. Dach w części pokryty blachą, w części szkłem, spoczywa na tysiącznych lanych słupach. Z niejakiéj odległości wydają się jak nieprzebyty las, a w pośród nich krzątania i hałas do ogłuszenia. Prawa i lewa strona przeznaczona na wystawę obrazów. Tam będzie nasz triumf, bo tam sztukę polską przedstawiać będą *Matejko* i *Grotger*. We środku gmachu olbrzymi przyrząd do ochłodzenia powietrza. Po jednéj stronie placu spuszczone jest jezioro, na około trawniki, ścieszki, skały, drzewa. W środku jeziora wyspa z kaskadami, na któréj stać będzie latarnia morska. Z innéj strony wzór gotyckiego kościoła z cegieł, w którym będą ułożone wszelkie naczynia, sprzęty, ornamenta używane przy nabożeństwach. Gdzieindziéj powiewają już ponad półksiężycem czerwone chorągiewki, jest to miejsce dla Egiptu, dla jego pawilonów i ogrodów żywcem z nad Nilu przeniesionych. Tam znowu budynki dla fotografii i fotoskulptury, a wszędzie trawniki, drzewa, wesołe wzgórza, wśród których nęci oczy przeźroczysty pawilon maurytański. Daléj pawilon cesarski z dziełami sztuki, marmurami, co razem wynosi wartości 1,000,000 fr. — Gmachy wszystkich narodów mają tam swoje miejsca, a około każdego pracują sami krajowi rzemieślnicy. W akwaryjach napełnionych wodą rzeczną i morską są okazy wszelkich ryb. Około akwaryjów morskich groty odbijające się w olbrzymich zwierciadłach. Pawilon holenderski przypłynie cały gotowy — potrzeba tylko będzie złożyć pojedyńcze części. — Jest osobny gmach na wystawę maszyn, które będą w ciągłym utrzymywane ruchu, za pomocą 16tu parowych maszyn, osobny dworzec kolei żelaznéj, gdzie będą zajeżdżać pociągi z wszystkich stron świata. Jest on cały z drzewa lekki, na wysmukłych słupach, wygląda jak szwajcarski pałacyk o niezliczonych wejściach i wyjściach. A co za liczba restauracyj, garkuchni; niema fantazyi i smakosza, którýby tam nieznalazł, czego chce. Sześć miesięcy będzie trwać ta wystawa, ażeby ją obejrzeć jako tako, trzeba przynajmniéj 3 tygodnie; kto ją zobaczy dokładnie, można niemal powiedzieć, że odbył podróż po całéj ziemi.

Ale nie wszystkim będzie to możebném, podawać więc będziemy dla wiadomości czytelniczek naszych w czasie otwarcia wystawy świata sprawozdania pióra jednego ze znakomitych pisarzy — a stałego naszego korespondenta.

## Od zarządu sprawunkowego „Kaliny".

Paniom A. T. w Dob. — i A. G. w Duk. — odpisaliśmy listownie.



Odpowiedzialny redaktor i nakładca Tadeusz Wojciechowski.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. 1866.